

ALARM STUDENCKI

WYDANIE SPECJALNE: ZWIĄZKOWA PRASA STUDENCKA #2/2026 [9]

MIESIĄC KOBIET



MIĘDZY SZTUKĄ A PORNO | WYWIAD Z DZIAŁACZKĄ ZWIĄZKOWĄ | RANDKOWANIE NA LEWICY | KOBIETY KONTRA AI | KOBIETA KOBIECIE KOBIETĄ, CZYLI AKADEMICKI MENTORING | REPRODUKCJA STEREOTYPÓW

Od redakcji

Czytelniczki i czytelnicy,

Marzec bywa opisywany jako miesiąc kobiet – czas podsumowań, gestów uznania i okazjonalnych deklaracji o równości. W praktyce częściej niż przełom przynosi jednak powtórzenie rytuałów. W tym wydaniu specjalnym wychodzimy z innych założeń. Patrzymy nie tyle na samą widoczność kobiet, a na warunki, w których ta widoczność się wytwarza i na to, co pozostaje poza nią.

Przyglądamy się kobietom w pracy i na studiach. Nierównemu dostępowi do bezpieczeństwa ekonomicznego i kosztom, które rozkładają się nierównomiernie, choć rzadko są tak opisywane. Przedstawiamy Wam perspektywę organizowania się – rozmowa z działaczką związkową pokazuje, że związki zawodowe mogą być nie tylko narzędziem obrony, ale też realnym sposobem odzyskiwania wpływu na warunki pracy i życia.

Nie pomijamy również tego, co najczęściej zostaje zamknięte w sferze prywatnej. Tekst o przemocy domowej pokazuje jej strukturalny charakter – to, w jaki sposób wpisuje się ona w szersze relacje zależności i jak trudno ją przerwać bez materialnego i instytucjonalnego wsparcia. Równocześnie wracamy do pytania o obecność kobiet w przestrzeni politycznej i społecznej: kto podejmuje decyzje, kto organizuje działania, kto bierze odpowiedzialność za kierunek wspólnych inicjatyw. Interesują nas zarówno bariery zewnętrzne, jak i te odtwarzane w codziennych praktykach.

Ten numer nie proponuje jednej odpowiedzi ani spójnej narracji. Raczej zestawia ze sobą różne poziomy doświadczenia – pracę, organizowanie się, życie prywatne i polityczne – pokazując, że trudno myśleć o nich osobno. Marzec nie jest dla nas momentem świętowania, a okazją do zadania pytań, które wykraczają poza jego ramy.

Udanej lektury,

Redakcja



„Wciąż mamy wdrukowane, że trzeba stać pół kroku za liderem i pracować na jego sukces”.

Rozmowa z Magdą Adamcio

*Magda Adamcio to pracownica wydawnictwa Bauer i członkini prezydium komisji zakładowej **Inicjatywy Pracowniczej** – pierwszej organizacji związkowej, która przeprowadziła strajk ostrzegawczy w sektorze mediów w III RP. Od ponad 15 lat praktykuje jogę, która uczy jej cierpliwości, siły i oddychania głęboko – szczególnie przydatnego w działalności związkowej. Jest Łemkinią, z troską i wdzięcznością wraca do swoich korzeni.*

*Z okazji **Międzynarodowego Dnia Kobiet Pracujących** pytamy Magdę o kulisy związkowej działalności i rady dla młodych pracowników.*

Kiedy i dlaczego zdecydowałaś się dołączyć do związku?

Do Inicjatywy dołączyłam w marcu 2023, miesiąc po tym, jak wystartowała z działalnością w Wydawnictwie Bauer. Nie musiałam się nad tym długo zastanawiać się bo od razu wiedziałam, że dołączę do związku i chcę być jego aktywną członkinią. Dlaczego? Bo do lutego 2023 (Bauer jest w Polsce od 1991!) nie było tu żadnego organu zajmującego się ochroną pracowników i ich praw. Od dłuższego czasu narastała we mnie wściekłość i sprzeciw wobec tego, jak są traktowani ludzie w wydawnictwie. Ten temat zawsze był mi bliski – denerwowało mnie, że w Polsce w relacji pracodawca – pracownik wciąż panuje system feudalny. Nawet w warstwie leksykalnej: *pracoDAWCA*. Mnie nikt niczego nie daje, a praca nie jest aktem łaski ze strony firmy – ona ma po prostu obowiązek godnie płacić mi za dobrze wykonaną pracę.

Czym zajmujesz się w Inicjatywie?

Dziś jestem członkinią prezydium mojej komisji. Po sporze zbiorowym zakończonym porozumieniem w sierpniu ubiegłego roku zaj-



mujemy się kolejnymi patologiami, których wciąż jest niemało w wydawnictwie – **pelzające zwolnienia grupowe, brak wynagrodzenia za zastępstwa w czasie urlopów, przymus pracy dodatkowej**, choć w teorii nie jest przymusowa, etc.

Jak mierzysz się z trudnymi sytuacjami w pracy?

Działalność związkowa nauczyła mnie **cierpliwości, konsekwencji i metodycznego podejścia do trudnych sytuacji**. Na początku frustrowało mnie to, że efektów naszej działalności nie widać natychmiast, że nie ma fajerwerków i braw, że zmiany następują powoli. Dziś wiem, że kropla drąży skałę, a upór i wytrwałość przynoszą realną transformację.

Z jakimi trudnościami mierzą się obecnie kobiety na rynku pracy?

Myślę, że niezmiennie od lat z tymi samymi. Choć niemalże trudno w to uwierzyć, mamy 2026 rok, kobietom wciąż trudniej awansować czy negocjować warunki pracy z powodu uprzedzeń i stereotypów dotyczących płci. **Luki płacowe i nierówność płacowa to nie histeria sfrustrowanych kobiet, tylko fakt.**

A w związkach zawodowych? Czy uważasz, że jest przestrzeń do poprawy i dlaczego?

Zawsze jest przestrzeń do ulepszania. Dziś w Inicjatywie mierzymy się z brakiem zaangażowania i biernością naszych członków i członkiń. Chcemy ich aktywować, przekonywać, że silni możemy być tylko razem, szukamy nowych wabików – to jest czasami deprimujące, ale ja wiem, że warto.

Nie przypominam sobie, żebym miała przykre doświadczenia związane ze swoją działalnością związkową ze względu na płeć. Może wynika to z mojego podejścia do działalności, gdzie nie ma miejsca na takie podziały? **Aktywizm to nie portal randkowy, tylko wspólnota koleżeńska.**

Dlaczego Twoim zdaniem to szczególnie ważne, by kobiety zrzeszały się w związkach oraz podejmowały w nich inicjatywę?

Bo wciąż ich głos jest za słabo słyszalny! Przynależność do związku daje **realną siłę i ochronę** – to trzeba głośno powtarzać i utrzymywać w świadomości. Indywidualnie kobiety boją się zabierać głos z obawy przed

utrata pracy, etykietą *konfliktowej albo histeryczki*, marginalizacją, etc. Działanie w związku oznacza wspólny głos, ochronę prawną i wsparcie, co znacząco zmniejsza ryzyko odwetu i wzmacnia sprawczość.

Dlaczego Twoim zdaniem kobiety obawiają się angażować politycznie?

Bo przez wieki wmawiano nam, że nie mamy prawa głosu, a dyskutować możemy co najwyżej o problemach z laktacją albo wyborze skuteczniejszego środka do walki z kamieniem i rdzą. I takim sposobem kłamstwo, które było powtarzane od zarania dziejów, stało się prawdą. **Póki co wciąż mamy wdrukowane, że trzeba stać pół kroku za liderem – płci męski-**

ej oczywiście – i pracować na jego sukces. Kobieta w polityce mierzy się nie tylko z oceną jej poglądów, ale również (i to znacznie częściej) czy ma dzieci, czy nie, czy założyła dwa razy tę samą sukienkę, czy była kochanką i innymi bzdurami. Jest rozliczana za to, *jaka* jest, a nie *kim* jest. Czas z tym skończyć – przypominam, mamy 2026 rok.

Co motywuje Cię do działania?

Przede wszystkim świadomość, że jeśli my nie zadamy o swoje prawa i potrzeby, nikt tego za nas nie zrobi. Poza tym mam głębokie przekonanie, że solidarność i wspólnota mają siłę sprawczą. Jedną osobę można uciszyć, krzyku setki osób już nie. A tak filozoficznie – nasza działalność nie musi

być odpowiedzią na rzeczywistość, ale może tę rzeczywistość tworzyć i zmieniać.

Co byś poradziła młodym pracownikom?

Ja w ogóle jestem wielką fanką młodych ludzi. Widzę, że są aktywni, asertywni i pewnie idą po swoje. Młodym pracownikom radzę – **bądźcie uważne, odważne i nie same.** Szukajcie sojuszników i sojuszniczek, bo wspólnota daje wielką siłę, by rozwalić system, który od dawna jest przestarzały i zagrzybiały. Solidarność jest narzędziem zmiany – bądźcie głośne

Rozmawiała Julia Popławska

Kobiety kontra AI: Jak algorytmy utrwalają nierówności i mizoginię?

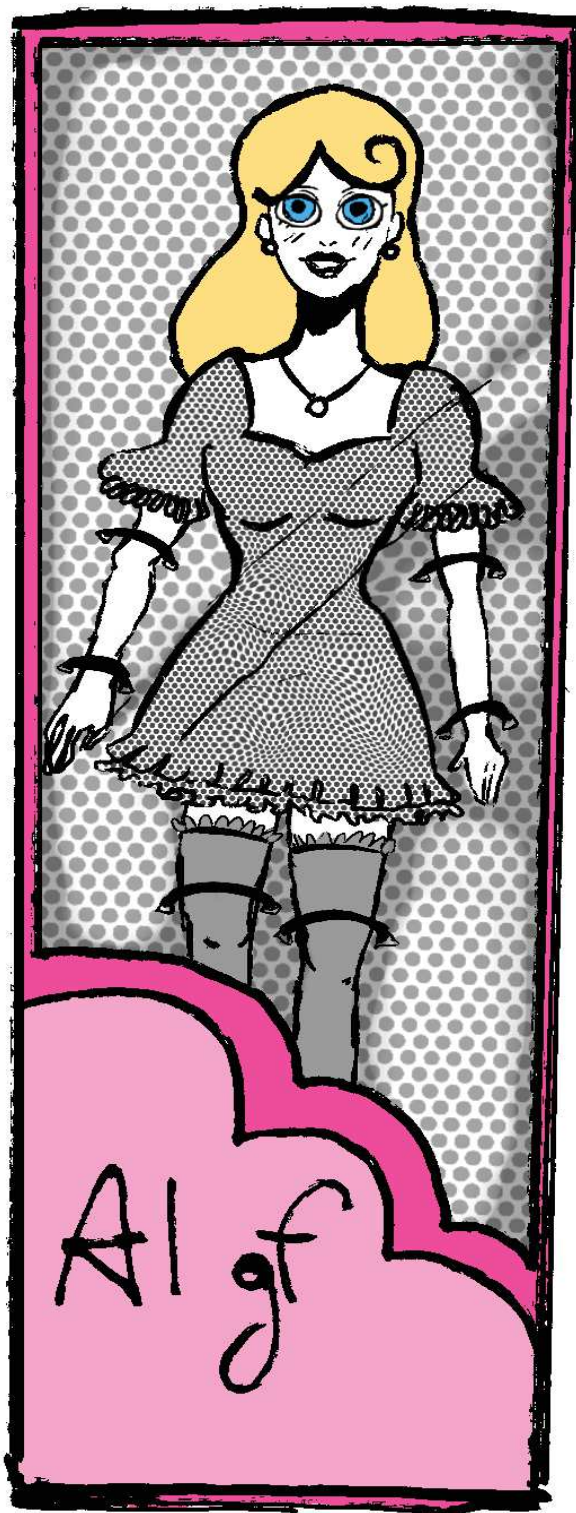
Julia Popławska

Ciągle wmawia nam się, że rozwój technologiczny to nie tylko coś dobrego, ale również coś niezbędnego dla ludzkości. Szczegółne natężenie tego zjawiska obserwujemy od momentu boomu na sztuczną inteligencję. Niestety rozwój technologiczny sam w sobie niekoniecznie jest wartością, a ważniejsze niż jego tempo są cele, którym ma służyć.

Tymczasem we współczesnym świecie doskonale widzimy, że technologia często nie rozwiązuje problemów, a jedynie utrwała te zastrzeżenia. Można powiedzieć, że jest ona swego rodzaju lustrem społeczeństwa – odbija systemowe problemy, a cyberprzestrzeń koduje uprzedzenia i mizoginię. Jesteśmy więc w punkcie, w którym technoligarchowie zamiast latających samochodów serwują nam możliwość rozebrania każdego zdjęcia na Twitterze. I niestety nic na razie nie wskazuje na to, żeby miało się to zmienić, a rzeczywistość zaczyna przypominać raczej odcinek Black Mirror niż technologiczną utopię.

Techbros próbują nieustająco przekonywać, że każdy z nas powinien się poddać i zaakceptować AI, bo to nieunikniona przyszłość. Już teraz wiemy, że bańka AI jest przeszacowana – wbrew temu, co można wyczytać u entuzjastów. Słyszymy o zwolnieniach, a pracodawcy wcale nie są zadowoleni z nowych rozwiązań. Jednak za implementacją AI, poza zwolnieniami, idzie inny problem – luka płciowa, która się z nią wiąże. Już





50% mężczyzn korzysta z generatywnego AI, a tylko 37% kobiet. Według badań Międzynarodowej Organizacji Pracy i NASK w krajach o wysokim dochodzie kobiety są prawie trzy razy bardziej narażone na utratę pracy z powodu generatywnej AI niż mężczyźni.

To nie tylko odzwierciedlenie starego schematu wysyłania chłopców na polibudy, a dziewczyn na kierunki humanistyczne. To także zjawisko związane z osobistym doświadczeniem kobiet, bo to ich w większości dotyka cyberprzemoc. Kobiety mają problem z zaufaniem do AI również ze względów etycznych, m.in. kojarząc ją z kradzieżą własności intelektualnej, negatywnym wpływem na środowisko, a także postrzegając korzystanie ze sztucznej inteligencji jako formę oszustwa.

W efekcie będziemy mieć do czynienia z pogłębiającą się luką na rynku pracy. Nie tylko dlatego, że kobiety są AI po prostu mniej zainteresowane, ale również ze względu na dyskryminację w algorytmach rekrutacyjnych. Jako dobry przykład można tu przywołać wycofane już w 2018 r. narzędzie AI Amazona. Modele Amazona zostały wytrenowane na podstawie CV przesłanych do nich w ciągu poprzednich 10 lat. Większość z nich pochodziła od mężczyzn, co stanowi odzwierciedlenie męskiej dominacji w branży technologicznej. Dla algorytmu był to znak, że mężczyźni to z góry lepsi kandydaci, co poskutkowało dyskryminacją kobiet w procesie rekrutacji.

Problem z rozwojem AI to nie tylko sprawy związane z rynkiem pracy. To także narzędzie, które wpływa negatywnie na relacje i więzi społeczne. Przykładem są sytuacje przypominające te z filmu *Her*, w których relacja z chatbotem zastępuje realny związek. Takie relacje są łatwe – mężczyzna nie musi się już starać, ponieważ staje się konsumentem, nie partnerem. Wystarczy, że otworzy przeglądarkę, wpisze kilka słów, a otrzyma partnerkę idealną. Algorytm będzie dostosowywał się do potrzeb użytkownika, bo tak jest skonstruowany. Po co więc angażować się w prawdziwą relację, skoro można zastąpić ją pozbawioną człowieczeństwa symulacją uczucia, która nie ma żadnych wymagań? To pójście na łatwiznę będzie miało swoją cenę – mężczyźni, którzy przyzwyczajają się do relacji z algorytmami, coraz gorzej będą sobie radzić z prawdziwymi kobietami: ich potrzebami, emocjami oraz z tym, że nie da się ich wyłączyć.

Dziewczyny-chatboty to tylko wierzchołek góry lodowej. Coraz powszechniejsza staje się pornografia generowana przez sztuczną inteligencję. „Modelki” AI z idealnymi ciałami, które nie istnieją, kształtują oczekiwania mężczyzn wobec prawdziwych kobiet. W aplikacjach można wygenerować sobie „partnerkę” o dowolnych cechach, w dowolnej sytuacji, bez pytania o zgodę i bez obaw o konsekwen-

cje. Już konsumowanie – nazwijmy to – standardowej pornografii wpływa negatywnie, a często wręcz destruktywnie na postrzeganie relacji seksualnych i prowadzi do normalizacji brutalności oraz uprzedmiotowienia kobiet. W przypadku AI te granice są jeszcze bardziej przesuwane, a w zasadzie nie ma ich już w ogóle. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby generować sobie najbardziej obrzydliwe fantazje, w tym sytuacje karalne w prawdziwym świecie, jak np. pornografia dziecięca.

Pornograficzne możliwości AI nie są jedynie wykorzystywane do realizacji prywatnych fantazji. Deepfake’i i „rozbieranie” kobiet przez narzędzia AI służą też do publicznego upokarzania kobiet. Ta forma przemocy dotyka nie tylko osób publicznych, ale też koleżanek z pracy czy szkoły. Tak – cyfrowa przemoc stosowana jest również przez dzieci wobec dzieci i nikt nie ma nad tym kontroli. Kiedy próbuje się wprowadzać choćby minimalne regulacje, zaraz zlatuje się chmara obrońców „wolności”, z prezydentem Nawrockim na czele.

98% wszystkich filmów deepfake w sieci to niekonsensualna pornografia.

99% z nich dotyczy kobiet.

Generatywna sztuczna inteligencja daje też drugie życie tzw. revenge porn. Skandal z wykradzionymi nagraniami Pameli Anderson, nagrywanie swoich dziewczyn z ukrycia, rozsyłanie nagich zdjęć czy robienie zdjęć spod spódnicy w szkołach – to wszystko już było. Dzięki deepfake’om istnieją teraz możliwości kompromitowania i niszczenia kobiet bez wychodzenia z domu. Fałszywa nagość i seksualność stają się narzędziami kontroli, a kobiety muszą się liczyć z tym, że ich wizerunek w każdej chwili może zostać wykorzystany przeciwko nim. To nie tylko kwestia psychologicznego cierpienia, lecz także systemowe podkopywanie pozycji kobiet w przestrzeni publicznej.

Sztuczna inteligencja nie jest nieuniknioną przyszłością, lecz narzędziem, które już dziś utrwała nierówności, pogłębia samotność i normalizuje przemoc. Zamiast rewolucji obiecującej lepszą przyszłość dostajemy świat, w którym ucieka się w relacje z chatbotami, kobiety są wypychane z rynku pracy przez dyskryminujące algorytmy, a cyberprzestrzeń staje się miejscem dla coraz bardziej skrajnych form przemocy. AI nie rozwiązuje problemów – mnoży je i odtwarza w cyfrowym świecie istniejące patologie. Czy w imię złudnego postępu chcemy zapłacić cenę za świat, w którym technologia służy nie ludziom, lecz ich najgorszym nawykom?

Zgól wusa - przeproś matkę

Agata Radziszewska

W tym miejscu pragniemy zaznaczyć, że autorka świadomie operuje ironią, gniewem i rejestrem potocznym jako narzędziami epistemologicznymi – nie wbrew kulturze i „akademickości”, lecz w jej obrębie. Dokładniej – w tradycji feministycznej krytyki wiedzy „neutralnej”, która od dawna wskazuje, że doświadczenie ucieleśnione i afektywne jest pełnoprawnym źródłem poznania. Wszystkie obrazy mężczyzn są przypadkowe i nie mają nawiązywać do konkretnych jednostek (nie zesrajcie się chłopaczki).



Od jakiegoś czasu zastanawiam się, jak to jest, że nasi koledzy są w stanie nader trafnie analizować i krytykować niesprawiedliwości systemów, które nas uciskają, równocześnie rzadko potrafiąc spojrzeć krytycznie na samych siebie i własne zachowania – zachowania reprodukujące pewne schematy, stanowiące przecież integralną część tych samych systemów. Być może tkwią w przekonaniu, że skoro szczerze – w swoich deklaracjach i w głębi serca – podzielają idee feministyczne i otwarcie nazywają się feministami, to tym samym wygrali ideologicznie. Czy chodzi o to, że system patriarchalny nagradza wiedzę – nawet tę rewolucyjną – ale nie uznaje wartości i postaw, które nie wpisują się w model „męskiej” wielkości? Że empatia, samoświadomość czy inteligencja emocjonalna nie należą w ich logice do sfery wiedzy, walki i intelektualnego obycia?

Okazuje się, że systemy opresji – czy to patriarchalny, czy kapitalistyczny – nie istnieją wyłącznie „na zewnątrz”, w abstrakcyjnym społeczeństwie. Są też głęboko zinternalizowane. **Tkwią w naszych świadomościach i podświadomościach, w procesach socjalizacji, w często nieuświadomionych wzorcach zachowań, ale także w samym sercu naszej podmiotowości.** Droga od bycia feministą „w sercu i teorii” do bycia feministą w praktyce (tzn. takim, przy którym kobiety faktycznie czują się swobodnie i bezpiecznie oraz mają zapewnioną równą przestrzeń do funkcjonowania) jest dość wyboista. Wymaga rzeczywistej, żmudnej pracy, nieustannej samokrytyki i ciągłego kwestionowania własnych – zdawałoby się oczywistych – przekonań i zachowań. Nie wystarczy zapamiętać kilku cytatów Marksa czy Engelsa o równości płci, przeczytać Judith Butler czy bell hooks, założyć crop top, odkryć w sobie „kobietą stronę” lub nawet „naturę”.

O zgrozo, nie wystarczy deklarować oburzenia sytuacją kobiet czy opowiadać o tym, że wychowało się wśród kobiet, przy samotnej matce, jako jedyny chłopiec wśród wielu siostr. Żadna z tych rzeczy nie czyni z ciebie jeszcze feministy. **Przyjęcie określonego zestawu poglądów nie jest tożsame z ich przepracowaniem, a tym bardziej z ich zrozumieniem.** Nie przerzucajcie całej antypatriarchalnej pracy na kobiety, od których oczekujecie, że będą was nieustannie edukować i napominać (co często nie jest nawet możliwe, bo przerywacie nam każdą wypowiedź). Jesteśmy zmęczone. Nie chcemy i nie będziemy wam feministycznie matkować.

Obszarem, w którym najdotkliwiej zderzyłam się z iluzorycznością lewicowych deklaracji kolegów, była sfera romantyczna. To właśnie w relacjach intymnych patriarchat wydaje się trzymać najmocniej – jakby lewica nie wchodziła z nami do łóżka. Spójność między głośzonymi ideami a codzienną praktyką zdaje się omijać nasze związki i relacje. W środowiskach i organizacjach lewicowych, dopóki nie mamy do czynienia z jaskrawym przypadkiem przemocy, zwykle przyjmujemy postawę nieingerencji. Lepiej się „nie wtrącać”. Kolega skrytykuje cię może za rasistowski czy ksenofobiczny żart, ale twoje zachowania w sferze romantycznej i emocjonalnej pozostają już wyłącznie twoją i twojej partnerki sprawą. Jakby ta sfera nie była uznawana za wystarczająco poważną dla radykalnych bojowników. Dlaczego więc stosujemy sankcje społeczne wobec zachowań jawnie sprzecznych z lewico-

wymi wartościami – takich jak ksenofobia czy sympatie faszystowskie – a przymykamy oko, gdy czyjeś postępowanie wobec partnerki daleko odbiega od feministycznych deklaracji? I kto na takim „niewtrącaniu się” zyskuje? Z reguły mężczyźni.

Opierając się zarówno na własnych doświadczeniach z mężczyznami, jak i na relacjach moich przyjaciółek i przyjaciół, spróbuję złożyć z tych historii kilka przykładów ilustrujących moją myśl. Są one konglomeratem zachowań wielu różnych osób i nie mają na celu portretowania kogokolwiek konkretnego. *Jeśli jednak dostrzeżesz w nich podobieństwo do siebie... może warto zgolić (lewicowego) wąsa i zrewidować pewne przyzwyczajenia. Może nawet przeprosić matkę.*

Dobrzy chłopcy

Wszyscy oni to oczywiście „dobrzy chłopcy”, którym „z oczu dobrze patrzy” i którzy na klatce schodowej mówią dzień dobry. Bywają nieco zagubieni życiowo i smutni – rzecz jasna nie bez powodu. W końcu wszyscy znajdują się pod butem kapitalizmu, ucisku i wyzysku, a także wynikających z tego problemów psychicznych.

Niekiedy można odnieść wrażenie, że będąc aż nadto świadomymi własnej beznadziei, zapominają, iż wciąż mają realną możliwość zranienia drugiej osoby. Brakuje im poczucia odpowiedzialności za własne czyny – nawet te drobne – bo zdaje im się, że życie odebrało im już wszelką sprawczość. A przecież, jak pisała Flora Tristan, *nawet najbardziej uciskany mężczyzna może uciskać inną osobę – swoją żonę. To ona jest proletariuszką proletariatu*¹. Świadomość własnego cierpienia i wyczerpania nie wyposaża ich niestety w umiejętność przyzwoitego traktowania innych – zwłaszcza gdy tymi innymi są kobiety znajdujące się w słabszej pozycji społecznej, socjalizowane do nadmiernej emocjonalności i bardziej nara-

żone na zranienie, gdy w grę wchodzi relacje romantyczne. Mężczyźni nie uczą się bowiem, że ich poczucie własnej wartości zależy od walidacji i pożądania ze strony płci przeciwnej;



kobiety – owszem. Ta fundamentalna nierówność nie dociera do niektórych mężczyzn. Dostrzegają ją wyłącznie w teorii, w szeroko pojętym „społeczeństwie”, ale już nie we własnym postępowaniu. Mimo to będą nazywać się feministami, „dobrymi chłopcami” czy nosić koszulki z hasłami kurdyjskiej rewolucji kobiet.

Czy gdybym również miała broń w ręku, szanowałibyscie mnie bardziej?

Na spotkaniach płynnie cytują Marksa lub Kropotkina, przy piwie dyskutują o rewolucji i socjalizmie. Sprawiają wrażenie *wzorcowych lewaków*. W praktyce natomiast pojawia się ghosting, nieścisłości, chaos komunikacyjny i wiele innych – niekoniecznie uświadomionych – form sprawiania komuś cierpienia. Gdy spróbujesz im zwrócić na to uwagę, łatwo wyjdiesz na rozhisteryzowaną wariatkę robiącą z igły widły. Świadomość konse-

kwencji własnych zachowań również nie wydaje się ich szczególnie zajmować.

Jedną z kluczowych cech omawianej przeze mnie postawy jest swoista **selektywność w zakresie odpowiedzialności za własne czyny**. Kiedyś dowiedziałam się, że chłopak, z którym się spotykałam, w tym samym czasie spotykał się również z innym chłopakiem. Ten zresztą zwrócił mu już uwagę, że jego zachowanie nie jest w porządku. Gdy był zbyt „jakiś” lub „zajęty czymś tam”, by być komunikatywny, po prostu znikał albo angażował się w relację z kimś innym. Czas aktywować „uprzywilejowanie kruchości”. Osoby funkcjonujące w ramach omawianej dynamiki często posługują się **narracją własnej bezradności** nie tylko jako autentycznym opisem swojego stanu, lecz także – a może przede wszystkim – jako **narzędziem zawieszającym zwykle normy relacyjne**. Innymi słowy: „jestem zbyt zmęczony, by odpowiadać na wiadomości, ale wystarczająco sprawny, by inicjować nowe znajomości”. Jeżeli ktoś już raz zwraca ci na coś uwagę, dlaczego później idziesz do drugiej osoby i robisz dokładnie to samo? Mogłabym teoretyzować o emocjonalnym sadyzmie, ale możliwe, że już samo robienie komuś mętliku w głowie swoim zachowaniem waliduje poczucie męskości – pod przykrywką niezależności. Patriarchat musi być aktywny. Ach, ci aktywiści...

Może obok Marksa warto byłoby zapamiętać również słowa Öcalana, kluczowej postaci dla obnoszonej przez niektórych rewolucji kobiet: *Mężczyzna, który nie traktuje kobiet z szacunkiem, nie może być socjalistą*². Rzecz jasna brak szacunku i poważnego traktowania rozciąga się tu na każdą osobę, z którą wchodzi się w relację – niezależnie od płci.

Warto tu również odnieść się do koncepcji „odpowiedzialności relacyjnej” roz-

¹ M. Albistur, D. Armogathe, *Histoire du féminisme français, éditions des femmes, Paris, 1977, s. 428.*, polskie tłumaczenie za: Natalia Krzyżanowska, *Kobiety w polskiej sferze publicznej*, wydawnictwo Adam Marszałek, 2012

² Öcalan A., *Kürdistan'da kadın ve aile, Weşanên Serxwebûn 62, s. 81 i 111, 1993*, polskie tłumaczenie za: Zabić [dominującego] mężczyznę, instytut Andrei Woolf, dystrybucja kolektyw Zoria

wijanej przez feministyczne teorie etyczne (np. Carol Gilligan, Nel Noddings). W przeciwieństwie do abstrakcyjnych, uniwersalistycznych systemów etycznych, operujących na poziomie zasad i deklaracji, etyka troski zwraca uwagę na to, że moralność realizuje się przede wszystkim w konkretnych, jednostkowych relacjach. **To, czy jesteśmy „dobrymi ludźmi”, nie rozstrzyga się w sferze naszych przekonań ani nawet w naszych publicznych działaniach, lecz w tym, jak traktujemy tych, którzy są od nas zależni, którzy nam ufają i którzy wchodzą z nami w intymne przestrzenie życia.**

Mechanizm „odcinania się” od odpowiedzialności bywa też wspierany przez specyficzną interpretację pojęć takich jak „otwartość relacji” czy „nie-monogamia”. W środowiskach lewicowych często funkcjonują one jako znaczniki progresywności i emancypacji. Tymczasem bywa, że owe kategorie stają się parawanem dla zwykłego, patriarchalnego wzorca – korzystania z dostępu do wielu osób bez informowania ich o tym, bez negocjowania granic i bez ponoszenia konsekwencji własnych wyborów. Oto „monogamia jednostronna”. Etyczna poliamoria? Tej pani nie znamy. Chyba potrzebujemy więcej czasu, żeby oswoić się z tym pojęciem – może miesiąca przerwy?

Spotkanie się z mężczyznami nieheteroseksualnymi ujawnia jeszcze jedną, interesującą dynamikę. Rozumiejąc nieheteroseksualność nie tylko jako orientację, lecz także jako **kategorię tożsamościową**, można by oczekiwać, że skoro ktoś przekroczył jedną normę, to tym samym jest bardziej wyemancypowany z patriarchalnych wzorców. Praktyka pokazuje jednak, że nie ma tu automatycznej korelacji. Czy swoich kochanków traktujecie tak samo (źle) jak kochanki? **Bycie nieheteroseksualnym nie stanowi automatycznej tarczy przed patriarchatem.** Można być jednocześnie uciskany ze względu na orientację i uciskać ze względu na płeć. Szczególnie wymowny jest moment, gdy mężczyzna – kiedy na chwilę się od niego odwracam – kieruje swoje zainteresowanie w stronę moich męskich przyjaciół. Kobieta staje się wówczas raczej „przepustką” do środowiska niż pełnoprawną partnerką – sposobem na oswojenie się z queerową przestrzenią i dotarcie do „właściwych”, bardziej szanowanych obiektów zainteresowania. Prowadzi to do pytania: kim wobec tego jest kobieta dla osoby odczuwającej pociąg do różnych płci? Czy gdybym była bardziej androgeniczna, szanowałibyscie mnie bardziej?

Wyzwoliciele

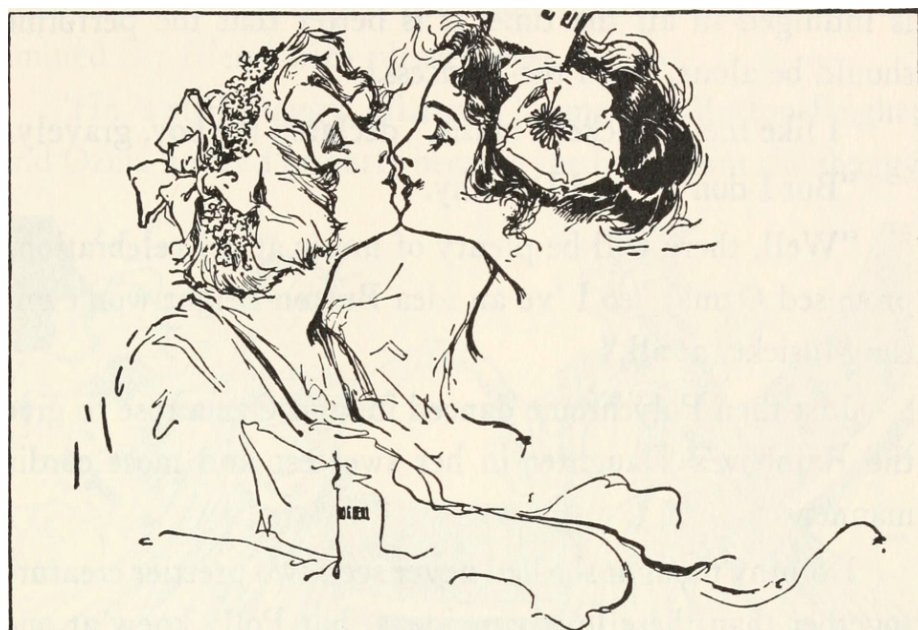
Nieco odmienny typ stanowi mężczyzna, który kurdyjskie ujęcie problemu patriarchatu ma jakby „w negatywie”. Taki wzorcowy socjalista czy rewolucjonista nie zaprzęta sobie głowy kwestiami męskiego ucisku i feminizmu, albowiem ponad wszelkie formy opresji przedkłada opresję systemu kapitalistycznego – mierzalną w materialnych warunkach bytowych. W tej logice walka socjalistyczna, dążąca do

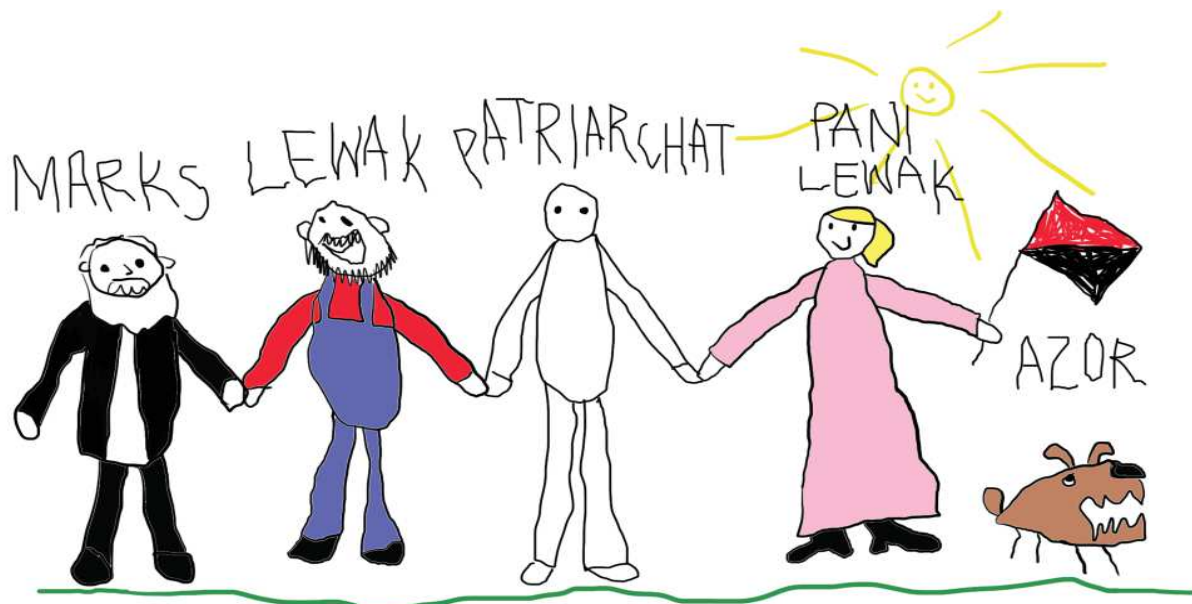
powszechnie rozumianej wolności i równości wszystkich ludzi, automatycznie staje się także walką feministyczną.

Z trudnością przychodzi mu uznanie, że patriarchat jest systemem opresyjnym co najmniej na równi z kapitalizmem – a nawet, że w ogóle jest systemem – oraz że jego korzenie sięgają znacznie głębiej i dalej niż moment historyczny, w którym Marks umieścił rozwój produkcji kapitalistycznej. Uznanie równoważności tych walk i opresji prowadziłoby bowiem do konieczności przyznania, że utopijne „wyzwolenie” nie musi być osiągalne wyłącznie poprzez walkę klasową, lecz także poprzez walkę feministyczną. To z kolei podważyłoby absolutną pewność co do słuszności własnego modelu emancypacyjnego. Równie trudne – choć logicznie z tego wynikające – jest uznanie, że jako mężczyzna jest się częścią problemu i że równie dobrze można być tym, który uciska, a nie tylko tym, który jest uciskany. Wydaje się to jednak kluczowe dla kształtowania lewicowej tożsamości. Trudno uznać własne uprzywilejowanie, gdy tyle czasu teoretyzowało się i walczyło z perspektywy uciskanego proletariusza czy prekariusza.

Warto też zaznaczyć, że wiele cierpień, jakich doświadczają kobiety w systemie patriarchalnym, nie ma bezpośredniego związku z ich bytem materialno-ekonomicznym. Choć są one rozłożone nierównomierne, dotyczą kobiet niezależnie od klasy, z której się wywodzą. Przemoc seksualna, psychiczna i fizyczna może zaistnieć nawet wtedy, gdy „zamknięta zostanie ostatnia fabryka”

Sądzę, że osoby takie błędnie wyobrażają sobie walkę socjalistyczną jako niezdefiniowanie doskonałą, utopijną i wszechinkluzywną, nie dostrzegając niebezpieczeństwa tkwiącego w takim myśleniu. Po pierwsze: ja – jako kobieta – nie chcę czekać na niedoczekany moment zniesienia podziałów klasowych, by moi koledzy, przyjaciele, partnerzy i towarzysze mogli traktować mnie przyzwoicie i bym nie musiała żyć w ciągłym lęku. Po drugie: dopóki nie poczuję, że jestem wśród nich poważana i bezpieczna, nie będę chciała obok nich walczyć o zniesienie czegokolwiek – co wydaje się szczególnie ważne dla sympatyków masowych ruchów mających obalić aktualny „porządek”. Po trzecie: jestem jak najbardziej w stanie wyobrazić sobie, jaki „socjalizm” i ja-





kie „wyzwolenie” może przynieść mi ruch prowadzony przez mężczyzn bagatelizujących dyskurs feministyczny lub niepotrafiących (albo niechcących) odróżnić go od dyskursu socjalistycznego.

Potrafię sobie wyobrazić, że **nawet w wymarzone, bezklasowym świecie, wolnym od niedostatków materialnych, mężczyźni nadal będą wychowywać się w toksycznym systemie, gardzić kobietami, traktować je jak własność, odbierać im podmiotowość, gwałcić czy mordować.** Ucisk kobiet można przecież umieścić historycznie wcześniej niż warunki kapitalistyczne i zaobserwować go niezależnie od różnych układów materialno-politycznych. Nie wierzę, by zniesienie podziałów klasowych automatycznie wyzwoliło kobiety i zniosło wszystkie inne formy opresji. Nie uważam też, by należało hierarchizować ważność poszczególnych walk – zwłaszcza gdy w przypadku jednej z nich już teraz można poczynić drobne, ale istotne zmiany, choćby we własnym zachowaniu.

Być może nie należysz do klasy kapitalistów, by móc się z niej na rzecz socjalizmu wypisać, ale jesteś częścią patriarchy. **Nie chcę wyzwolenia prowadzonego „dla mnie” przez mężczyzn, którzy nie potrafią mnie nawet wysłuchać.** Częste wymówki, które – właśnie w relacjach romantycznych – dostrzegam najsilniej, że nie będą zajmować się swoimi wadami jako mężczyźni czy partnerzy, bo „walka o przejęcie środków produkcji” jest zadaniem o wiele poważniejszym i nie mają cza-

su, by traktować mnie poważnie, są po prostu absurdalne. A jeżeli naprawdę tak uważają, niech przestaną wikłać siebie i innych w różne relacje.

Dużo bardziej wolałabym, aby każdy taki domniemany rewolucjonista poświęcił choć tydzień swojego cennego czasu na refleksję nad tym, jak sam uciska innych i jaką krzywdę wyrządza mu samemu patriarchy, niż na swoją świętą wojnę przeciwko tym, którzy uciskają „u góry”. O wiele bardziej wolałabym nie być ciągle zmęczona lękiem, zraniona interakcjami z „dobrymi chłopcami” i niepewna swojej pozycji w społeczeństwie, niż w takich warunkach patrzeć, jak wyzwalają mnie rewolucjoniści, którym z oczu dobrze patrzy.

To, co opisuję, może wydawać się „mało znaczącymi” przykładami wobec skrajnie przemocowych i mizoginistycznych sytuacji, o których słyszy się w różnych środowiskach lewicowych. Właśnie dlatego tak łatwo zamieść je pod dywan i nie traktować jako elementu tego samego systemu. A może gdyby zacząć od tych „małych”, codziennych zachowań, udałoby się ograniczyć także te najbardziej skrajne?

Kiedy związki niezawodowe rozpierdalają związki zawodowe

Czy rozwiązaniem byłoby więc nieumawianie się w swoim kręgu aktywistycznym albo całkowita rezygnacja z relacji romantycznych? **Wszyscy znamy przykłady, jak romanse**

w organizacjach lewicowych potrafią poważnie nimi zatrzęść. Wszyscy wierzymy – może poza chłopakami, którzy wstępują do takich organizacji właśnie po to, aby pod przykrywką woke feministy łowić kobiety (ale to temat na osobną rozmowę) – w obrane przez nas cele i nie chcemy, aby prywatne relacje członków i członkiń stawały na drodze do ich realizacji.

Jednocześnie, mając doświadczenia z tak zwanymi „normalnymi ludźmi”, liberałami czy osobami przekonanymi, że feminizm polega na legitymizowaniu hegemonii przy urnie wyborczej raz na kilka lat, naprawdę nie wiem, jak miałabym spotykać się z kimś, kto nie jest w stanie nawet deklaratywnie uznać przemocy, jaką patriarchy wyrządza kobietom – nie mówiąc już o sytuacjach, w których sam się jej dopuszcza. Pomijam tu zresztą szereg innych wrażliwości i przekonań, które uważam za niezbędne, by być przyzwoitym człowiekiem.

Myślę też, że całkowita rezygnacja z relacji i bliskości – a więc także z miłości i szczęścia – choć w krótkiej perspektywie może wydawać się motywująca w walce z kapitalizmem, w dłuższej byłaby dokładnie tym, czego kapitalizm od nas chce. Oznaczałoby to wyrzeczenie się własnych potrzeb i prawa do relacji, których nie da się skapitalizować ani zmonetyzować. W efekcie zostalibyśmy z atomizacją, beznadzieją i smutkiem – zamiast budować to, co mogłoby być realną alternatywą.

Czy mogę was krytykować, skoro sama nie jestem idealna?

Nie twierdzę oczywiście, że sama jestem wolna od wad ani że nie reprodukuje patriarchalnych wzorców. Zostałam zsocjalizowana do roli kobiety, której podmiotowość definiuje bycie dobrym obiektem pożądania – partnerką, żoną – oraz poszukiwanie walidacji u mężczyzn w relacjach romantycznych. Kiedy moje własne cechy charakteru spotykają się z męską

socjalizacją, która na pierwszym miejscu stawia niezależność (choć czy życie w ciągłej ucieczce przed zaangażowaniem można nazwać niezależnością?) i brak emocjonalności – często przejawiający się w wycofaniu wobec potrzeb drugiej osoby – powstaje mieszanka bolesna dla obu stron.

Powtórzę jednak: **nie piszę tego tekstu po to, by kogokolwiek rozliczać**. Podane przykłady mają jedynie ilustrować absurd, z którymi się spotkałam. Chciałabym raczej rozpocząć dyskusję o tym, czego mamy prawo oczekiwać od samozwańczych lewaków, o znaczeniu sfery romantycznej w naszym dyskursie oraz zaapelować do osób męskich i mase identyfikujących się z lewicą, by przyjrzały się temu, jak ich poglądy przejawiają się w praktyce – w relacjach z koleżankami i partnerkami. **Wiara w feminizm nie wystarczy**. Bycie feministą wymaga przełożenia tej wiary na konkretne zachowania oraz indywidualnej pracy nad systemem przekonań uznawanych „na lewicy” za oczywiste. Postulaty socjalizmu czy anarchizmu zakładają przecież równość wszystkich – nie tylko uciskanych mężczyzn-robotników i nie tylko równość materialno-ekonomiczną.

Bestiariusz lewicowej niekonsekwencji strukturalnej

Jeżeli zebrać wszystkie opisane wcześniej figury w jedną, wyłania się ciekawa postać – nasz własny „best boy – frankenstein”. Nie jest to typ psychologiczny ani jednostkowa patologia, lecz produkt konkretnego układu społecznego: mężczyzna socjalizowany w patriarchacie, który przyswoił język krytyki systemowej szybciej niż umiejętność autore-

fleksji, a kapitał symboliczny lewicowości traktuje jako substytut pracy nad sobą.

Funkcjonuje doskonale w sferze deklaratywnej: zna pojęcia, cytaty i estetykę, potrafi rozpoznać faszyzm, rasizm i kapitalizm. Jednak jego praktyki intymne pozostają poza obszarem uznanym przez niego samego za polityczny. W relacjach romantycznych reprodukuje dokładnie te same hierarchie, które deklaratywnie zwalcza: asymetrię władzy, brak odpowiedzialności, instrumentalizację cudzych emocji oraz fetyszyzację własnej kruchości jako usprawiedliwienia krzywdzenia innych.

„Lewak niekonsekwentny strukturalnie” nie widzi siebie jako opresora, ponieważ opresję rozumie wyłącznie w kategoriach makro – państwa, kapitału, policji czy granicy – nigdy w skali mikro. Jego feminizm znika dokładnie tam, gdzie zaczyna się odpowiedzialność. Bez realnej pracy nad relacyjną praktyką lewica będzie więc wciąż produkować mężczyzn ideologicznie radykalnych i emocjonalnie reakcyjnych, a kobiety, osoby femme, trans i niebinarne nadal będą płacić koszt tej sprzeczności własnym bezpieczeństwem, zdrowiem psychicznym i zdolnością do zaufania.

Tłumacząc z naszego na wasze: zaczniście traktować swoje relacje jak przestrzeń polityczną, a nie strefę bezkarności. Jeśli socjalizm, anarchizm, komunizm i feminizm są dla ciebie naprawdę ważne, to – drogi kolego – najwyższy czas, by twoje relacje stały się równie rewolucyjne jak twoje poglądy.

Za ogromną pomoc w pisaniu i redagowaniu pragnę podziękować Weronice Ziółkowskiej.

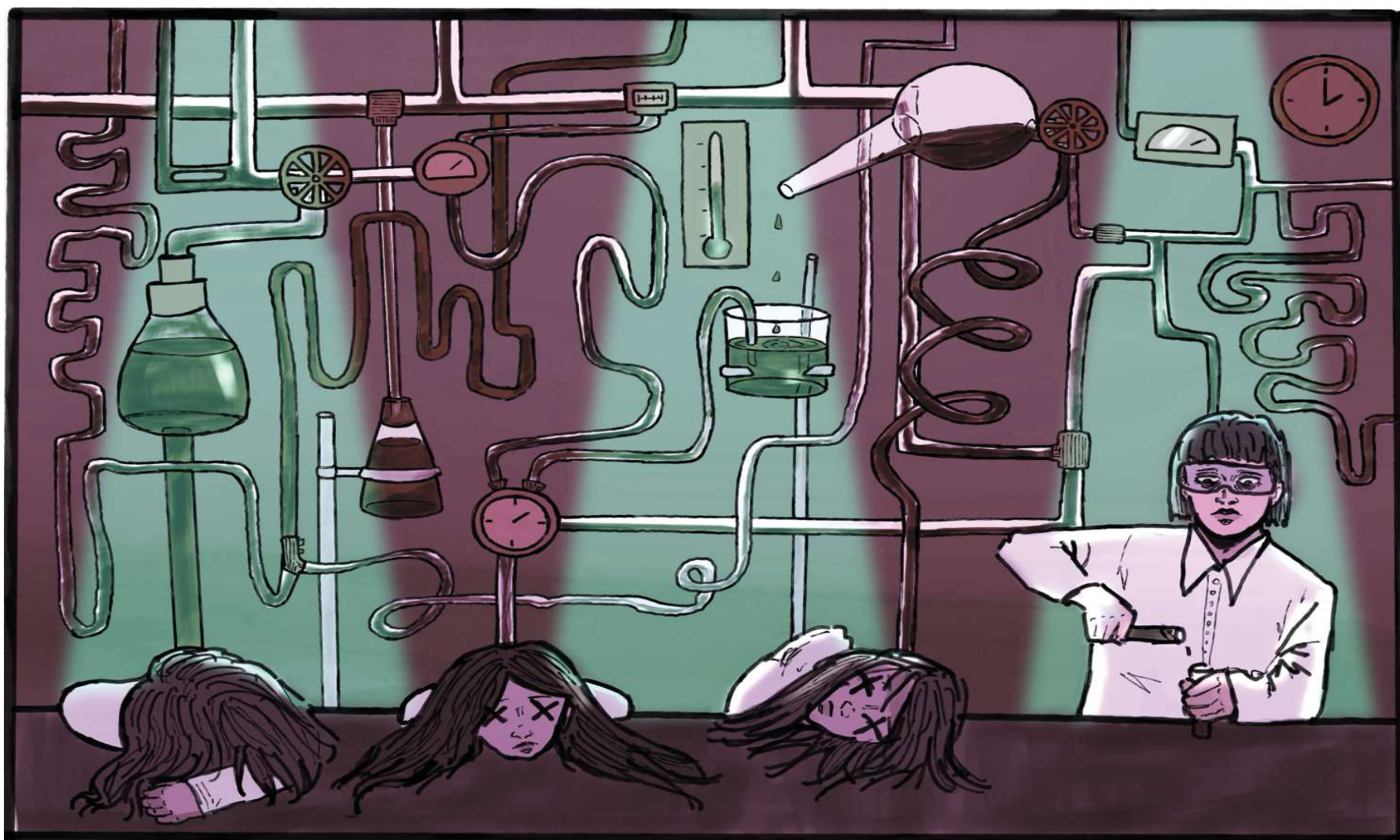
Szklany sufit i betonowe serca. Kto naprawdę „daje radę” w akademii?

Maya Śliwa



Akademia lubi opowiadać o swojej „historii postępowości”. Coraz więcej kobiet na wyższych stanowiskach (albo na stanowiskach w ogóle), coraz więcej deklaracji równościowych, coraz więcej języka inkluzywnego pojawiającego się w strategicznych dokumentach. A jednak – wiele studentek i doktorantek nadal doświadcza czegoś zgoła innego: systemowego wykluczenia, chłodu, podważania kompetencji i ciągłego egzaminu z odpowiedniego sposobu bycia, który kierowany jest w stronę kobiet zarówno przez

mężczyzn, jak i inne kobiety, które same ten system przetrwały i zrobiły w nim karierę. To temat niewygodny. Łatwo go spłyć do konfliktów między kobietami, łatwo oskarżyć autorki takich obserwacji o brak solidarności albo personalne żale. Tymczasem nie chodzi o jednostkowe charaktery ani *złe kobiety*. Chodzi o **mechanizm władzy, który w patriarchalnej akademii produkuje określony typ liderki** i nagradza je właśnie za to, że potrafią być takie jak mężczyźni, którzy wcześniej tę władzę sprawowali.



Akademia jako test wytrzymałości

Akademia, szczególnie w naukach ścisłych, od dawna funkcjonuje nie jako przestrzeń przeznaczona na rozwój, lecz jako test wytrzymałości psychicznej i fizycznej. Nie chodzi w nim wyłącznie o wiedzę, umiejętności czy kreatywność badawczą. Chodzi o zdolność do znoszenia przeciążenia, chaosu organizacyjnego, braku wsparcia i permanentnej niepewności. To środowisko, w którym im bardziej dana praktyka dla bezstronnego widza prawdopodobnie byłaby co najmniej niepokojąca, tym częściej uznawana jest za normalną. Praca po godzinach nie jest tu sygnałem złej organizacji, lecz **dowodem zaangażowania**. Brak granic między życiem prywatnym a zawodowym nie stanowi patologii, a świadczy o pasji. Zmęczenie, lęk i wypalenie zostają zredukowane do indywidualnej słabości, a nie systemowego problemu. W ten sposób akademia produkuje mit: kto nie wytrzymuje, ten się nie nadaje. Ten mit szczególnie brutalny jest wobec kobiet.

Od studentek i doktorantek oczekuje się nie tylko wysokiej wydajności, ale też emocjonalnej samokontroli. Mają być jednocześnie

ambitne i skromne, dyspozycyjne i niewidoczne, odporne i wdzięczne. Każdy przejaw zmęczenia, zagubienia czy potrzeby wsparcia może zostać użyty przeciwko nim jako dowód braku predyspozycji do nauki. To nie przypadek, lecz efekt kultury, w której odporność emocjonalna zostaje błędnie utożsamiona z wartością naukową. Co istotne, **test wytrzymałości nigdy nie jest jasno zdefiniowany. Zasady zmieniają się w trakcie gry**. Studentka nie wie, kiedy robi wystarczająco dużo, kiedy może pozwolić sobie na przerwę, a kiedy wolno jej zadać pytanie. Brak jasnych instrukcji i struktur wsparcia nie jest tu niedopatrzeniem, lecz narzędziem selekcji. Zostają tylko te, które przetrwają ten chaos. Reszta odpada po cichu, często z poczuciem powrotu na tarczy.

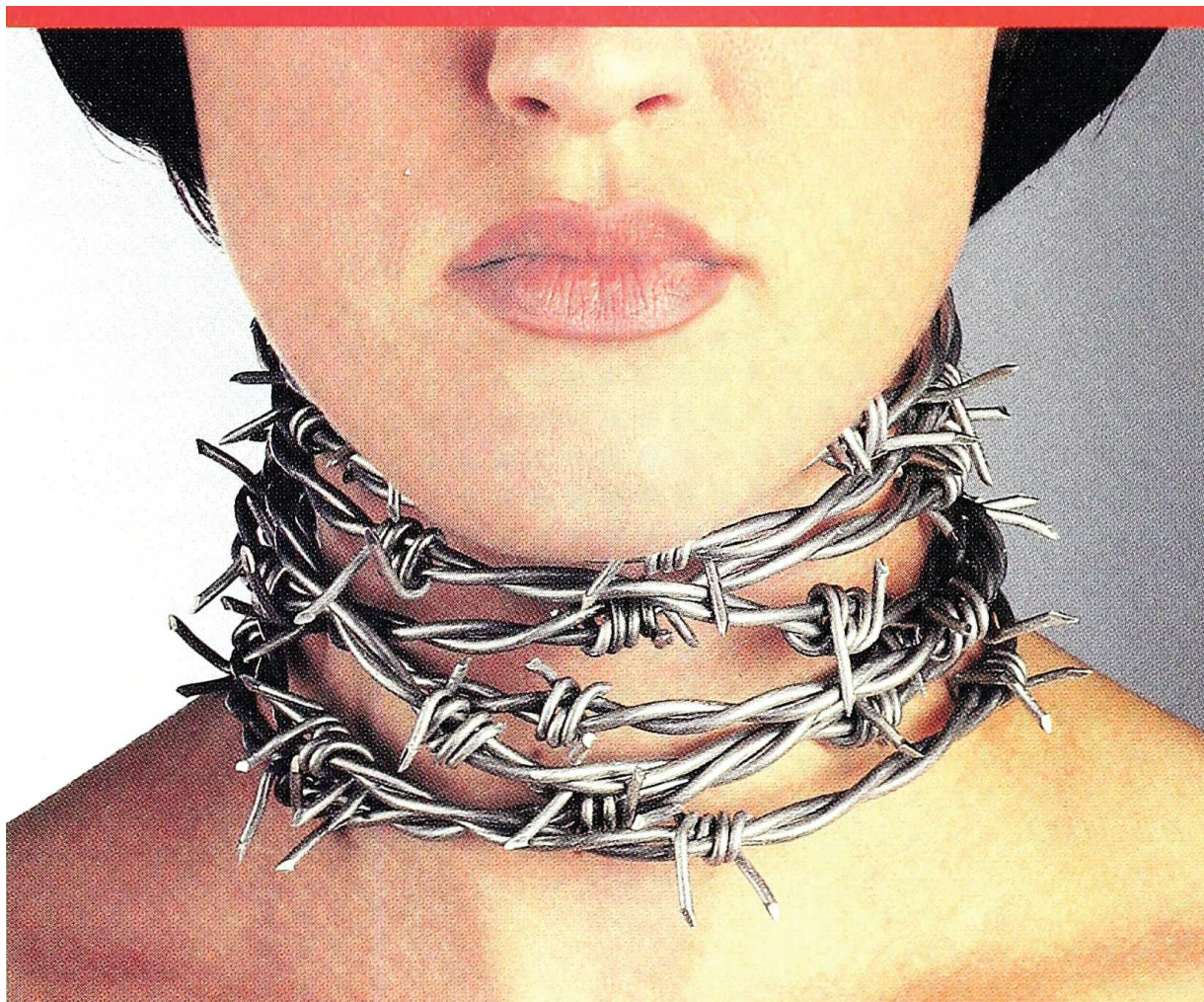
W tym kontekście szczególnie niebezpieczna staje się narracja: „tak już jest” albo „każdy przez to przechodzi”. Normalizowanie przemocy strukturalnej sprawia, że system nie musi się zmieniać, bo ewentualne wliczone straty zostają przerzucone na jednostki. To nie instytucja zawodzi – to tylko kolejna słaba studentka, która nie dała rady. Kobiety, które dziś zajmują wysokie pozycje w akademii zo-

stały przeżute przez ten sam mechanizm. Być może jeszcze bardziej brutalny. Być może bez żadnych narzędzi ochronnych. I właśnie dlatego ten test wytrzymałości bywa przez nie traktowany jako rytuał inicjacyjny: skoro one go przeszły, musi mieć jakiś sens. Skoro je ukształtował, znaczy to, że działa.

Takie myślenie ignoruje fundamentalną prawdę: przemoc nie jest naturalnym narzędziem selekcji. Nie wybiera najlepszych badaczek. Wybiera te, które są w stanie najdłużej funkcjonować w warunkach przeciążenia, niepewności i braku opieki. Często kosztem zdrowia psychicznego, relacji, a czasem całego życia poza laboratorium. Akademia jako test wytrzymałości nie premiuje odwagi intelektualnej ani kreatywności. Premiuję zdolność do adaptacji do patologii. A gdy kobiety, które zdały ten test, zaczynają go wymagać od kolejnych pokoleń studentek, przemoc staje się żelazną zasadą. W ten sposób akademia produkuje paradoks: im więcej kobiet odnosi „sukces”, tym trudniej zakwestionować system, który ten sukces uczynił możliwym tylko poprzez cierpienie. Każda próba jego krytyki może zostać przeinaczona

w brak odporności, nadwrażliwość – albo najczęściej – „nie szacunku dla realiów nauki”.

Figura kobiety, która „dała radę” jest szczególnie silna w naukach ścisłych. To tam naj-



„Ja też przez to przechodziłam”

Akademia jako test wytrzymałości nie byłaby tak skuteczna, gdyby nie miała swoich bohaterów. Kobiety, która „dała radę”, czyli przetrwała chaos, lekceważenie, brak wsparcia, seksizm i samotność. Kobiety, która nie odpadła i została. To ona staje się niepodważalnym dowodem na to, że system działa i że nie jest on wcale opresyjny, lecz wymagający i stawiający wyzwania. Jej biografia pełni funkcję alibi dla instytucji. „Ja też przez to przechodziłam” zdaje się brzmieć jak gest empatii. W praktyce bywa jednak narzędziem normalizacji przemocy. Nie otwiera rozmowy o zmianie warunków, zamyka ją. Skoro ktoś przeszedł przez ten sam test i wyszedł z niego zwycięsko, to znaczy, że cierpienie było nie tylko nieuniknione, a wręcz konieczne. Zostaje przepisane na cnotę: hart ducha, odporność, determinację. Każda próba zakwestionowania systemu zostaje wówczas zinterpretowana jako brak odpowiedniego charakteru, a nie racjonalna krytyka.

łatwiej pomylić kompetencje intelektualne z odpornością na przeciążenie. To tam brak granic bywa przedstawiany jako dowód pasji, a wypalenie jako koszt ambitnych celów. Kobieta, która przetrwała te warunki, często była zmuszona dostosować się do stereotypowo męskiej formy funkcjonowania: zrezygnować z komunikowania i werbalizowania emocji, nauczyć się ostrego języka, zdystansować się od innych kobiet, na tyle, aby nie być z nimi utożsamiana. Ten proces nie jest neutralny. Żeby „dać radę”, trzeba było uznać przemoc za normę i w pewnym sensie się z nią sprzymierzyć. W efekcie sukces bywa okraszony nie tylko zmęczeniem czy stratami osobistymi, ale także wewnętrznym zerwaniem solidarności. Młodsze kobiety zaczynają przypominać nie potencjalne sojuszniczki, lecz dawne „ja” – to słabsze, zagubione, które trzeba było w sobie zdusić, żeby przetrwać. A skoro wtedy nikt mi nie pomógł, pomoc dziś jawi się jako nieuzasadniony przywilej.

W tym miejscu **zinternalizowana mizoginia splata się z logiką instytucji**. Kobieta

u władzy nie musi być jawnie wroga wobec studentek. Wystarczy, że będzie wymagać od nich dokładnie tego, samego czego wymagano od niej – bez uwzględnienia zmiany kontekstu, bez refleksji nad kosztami, bez zgody na to, że ktoś może chcieć inaczej. **Test wytrzymałości zostaje wówczas przedstawiony jako obiektywny i sprawiedliwy, choć w rzeczywistości selekcionuje umysły nie najlepsze, a te stworzone do adaptacji do patologii.** „Ja też przez to przechodziłam” staje się więc nie tyle wyrazem solidarności, ile mechanizmem obronnym. Chroni przed koniecznością zadania trudnego pytania: *czy mój sukces był możliwy tylko dlatego, że nauczyłam się funkcjonować w przemocowym systemie?* I co by to znaczyło, gdybym przyznała, że ten system nie powinien dalej istnieć w tej formie?

Dopki uniwersytet będzie opierał swoją legitymizację na indywidualnych historiach kobiet „którym się udało”, dopóty każda próba zmiany będzie przedstawiana jako zagrożenie dla porządku, a młode kobiety będą musiały wybierać: „dać radę” kosztem siebie, albo odejść w ciszy – z poczuciem, że to one zawiodły.

Kontrola zamiast mentoringu

Jednym z najbardziej nadużywanych pojęć w akademii jest **mentoring**. W teorii oznacza proces przekazywania wiedzy, odpowiedzialności i sprawczości – relację, w której osoba bardziej doświadczona aktywnie wspiera rozwój tej dopiero rozpoczynającej swoją karierę naukową. W praktyce mamy do czynienia raczej z karykaturą mentoringu, przejawiającą się: systemem kontroli, zawstydzania i permanentnie niejasnymi oczekiwaniami. Studentka funkcjonuje w przestrzeni pełnej sprzecznych sygnałów. Ma być samodzielna, ale nie za bardzo. Ma wykazywać inicjatywę, ale tylko wtedy, gdy ktoś ją uzna za „właściwą”. Ma wiedzieć, kiedy przyjść do laboratorium, co i w jaki sposób, mimo że nikt nie poinformował jej wprost o procedurach ani ramach dyspozycyjnych. Gdy pyta, słyszy, że „to podstawy”

ALARM STUDENCKI

i „powinna to wiedzieć”. Gdy nie pyta, zarzuca się jej brak zaangażowania. Każdy ruch może zostać uznany za błąd.

Ten chaos nie jest efektem złej organizacji ani braku czasu. Jest narzędziem władzy. Niejawność zasad pozwala utrzymać pełną kontrolę nad osobami znajdującymi się na dole hierarchii. Skoro nie istnieją jasno określone oczekiwania, zawsze można uznać, że studentka nie spełnia standardów. Odpowiedzialność zostaje przerzucona na jednostkę, która nie ma ani realnej władzy, ani dostępu do informacji. W takim układzie mentoring zostaje zastąpiony ciągłą oceną bez kryteriów. Wiedza nie jest przekazywana w sposób systematyczny, lecz dozowana arbitralnie.

Zamiast nauki przez praktykę doświadczają się nauki przez strach: strach przed zadaniem pytania, przed popełnieniem błędu, przed oceną. Ten model dotyka w szczególności kobiet, ponieważ są one od najmłodszych lat warunkowane do przyjmowania odpowiedzialności za cudze relacje i emocje. Gdy coś idzie nie tak, znacznie szybciej zakładają, że to ich wina. Zamiast pytać, czy system jest źle skonstruowany, zaczynają pytać siebie: „czy ja czegoś nie przeoczyłam?”, „czy nie powinnam była się domyślić”, „czy nie jestem zbyt wymagająca”? W ten sposób kontrola zewnętrzna zostaje przekształcona w samokontrolę, a przemoc w autooskarżenie. Kluczowym elementem tego mechanizmu jest gaslighting: studentka otrzymuje sprzeczne komunikaty, a następnie słyszy, że problemem jest jej nadwrażliwość i brak zrozumienia realiów pracy naukowej. To skutecznie podważa jej zaufanie do własnych obserwacji. Zamiast widzieć systemowy problem, zaczy-

na wątpić w siebie. To jedna z najskuteczniejszych form dyscypliny, bo nie wymaga ciągłej interwencji przełożonych. Jednostka zaczyna pilnować się sama.

Kontrola zamiast mentoringu pełni jeszcze jedną funkcję: uniemożliwia budowanie solidarności. **Chaos i niejasność sprzyjają rywalizacji, izolują studentki od siebie, każą im myśleć w kategoriach indywidualnego przetrwania.** Skoro każda „radzi sobie inaczej” to nie istnieje wspólny punkt odniesienia, nie istnieje język do opisu nadużyć. Każda historia zostaje zamknięta w formule osobistej porażki. W ten sposób akademia produkuje środowisko, w którym brak wsparcia nie jest anomalią, a normą. Mentoring przestaje być narzędziem rozwoju, a staje się rytuałem podporządkowania. Ci, którzy go przejdą, uczą się nie tylko technik badawczych, ale także tego, że władza nie musi być transparentna, a przemoc nazwana. Bardzo często, gdy sami znajdują się wyżej w hierarchii, ten model po prostu reprodukuje. Skoro chaos był warunkiem ich awansu, to porządek dla innych jawi się jako zagrożenie.

Solidarność albo nie

Jeśli akademia ma być czymś więcej niż selekcją najbardziej odpornych na przemoc jednostek, musi porzucić mit, że „tak po prostu jest”. Ten mit nie opisuje rzeczywistości, ale ją usprawiedliwia. Pozwala instytucjom unikać odpowiedzialności, a osobom u władzy zachować komfort przekonania, że brutalne warunki są nieuniknione. W rzeczywistości nie ma nic naturalnego w systemie, który regularnie produkuje lęk, wypalenie i poczucie bezwartościowości u osób, które mają zajmować się tworzeniem wiedzy i rozwojem nauki. Akade-

mia musi przestać wymagać od kobiet, by płaciły za sukces autodestrukcją. **Nie jest to koszt ambicji, lecz polityczna decyzja o tym, kogo uznajemy za godnego uczestnictwa w produkcji wiedzy.** Model oparty na wyczerpaniu premiuje tych, którzy mogą pozwolić sobie na podporządkowanie całego życia pracy: osoby bez obowiązków opiekuńczych, z zapleczem finansowym, z ciałami i nerwami zdolnymi do długotrwałego funkcjonowania w stresie. Reszta „ma nie dać rady” i to właśnie na tym polega selekcja.

Solidarność w tym kontekście nie jest dodatkiem ani miękką wartością. Jest warunkiem etycznej legitymizacji nauki. Bez niej uniwersytet traci prawo do opowiadania o sobie jako przestrzeni postępu. Nie można jednocześnie produkować wiedzy o świecie i ignorować przemocy we własnych strukturach. Nie można mówić o krytycznym myśleniu, jednocześnie wymagając milczenia wobec nadużyć. Solidarność oznacza coś znacznie bardziej radykalnego niż uprzejmość czy indywidualną życzliwość. Oznacza odmowę przekazywania przemocy dalej. Oznacza uznanie, że jeżeli czyjś sukces był możliwy tylko dzięki niesprawiedliwym warunkom, to te warunki nie zasługują na obronę. Nawet jeśli ich podważenie oznacza utratę części przywilejów.

Bez solidarności akademia nie jest wspólnotą poznania, lecz areną przetrwania, w której jednostki rywalizują o ograniczone zasoby, a przemoc jest normalizowana jako metoda selekcji. Liczy się nie to, co badamy i dlaczego, a to, kto jest w stanie najdłużej wytrzymać presję. Dlatego alternatywa jest prosta, choć politycznie niewygodna. Albo uniwersytet uzna solidarność za fundament swojego istnienia – realny, materialny, wpisany w praktyki mentoringu, oceniania i pracy zespołowej – albo będzie dalej tracił kolejne pokolenia kobiet, osób z mniejszym kapitałem społecznym, tych, które nie chcą ani nie mogą „dawać rady” kosztem swojego zdrowia psychicznego i fizycznego. Nie ma trzeciej drogi. Nie ma neutralności. Każde milczenie jest zgodą, a każde „tak już jest” – wyborem strony. **Solidarność albo nie.**



Sztuka czy pornografia? Problematyka przedstawiania ciała kobiecego w sztuce

Dominika Zymni

Przedstawianie aktu kobiecego stanowi ważny przykład odzwierciedlający zmieniające się role społeczne, moralność oraz kanony piękna, którymi obarczone były kobiety. Wizerunek kobiet w sztuce zmieniał się wraz z autonomią, którą zyskiwały. W starożytności mieliśmy do czynienia z przedstawieniem kobiety jako bogini, w baroku ze zmysłowymi aktami, aż po współczesność, kiedy artystki i artyści podważają kanony piękna bądź moralne status quo. W historii sztuki nie brakowało kontrowersji dotyczących przedstawiania kobiecych aktów. Pojawia się więc pytanie: **kiedy mamy do czynienia z ekspresją artystyczną, a kiedy z zaspokajaniem wrażeń erotycznych?** W tym celu przeanalizuję kilka dzieł budzących kontrowersje. W szczególności skupię się na feministycznej sztuce badającej granicę między wolną ekspresją a uprzedmiotowieniem kobiecego ciała i tworzeniem z niego obiektu dla męskiego spojrzenia.

W starożytności sztuka była tworzona głównie przez mężczyzn i adresowana do męskiego odbiorcy.

W starożytnej Grecji kobiety zajmowały się domem i opieką nad dziećmi, miały ograniczone prawa i były wykluczone z życia społecznego. Jednym z najbardziej kontrowersyjnych ówczesnych dzieł była *Afrodyta z Knidos* autorstwa Praksytelesa. Rzeźba bogini, mimo swojej sakralnej funkcji, została przedstawiona w sugestywnej pozie, zacierając granicę między sztuką sakralną a świecką. Służyła zarówno erotycznej fantazji, jak i kultowi religijnemu.

W średniowieczu sztuka była przede wszystkim zdominowana przez religię.

Nagość pojawiała się rzadko i była silnie nacechowana symbolicznie. Najczęściej mamy

w tym okresie do czynienia z przedstawianiem kobiecej nagości jako symbolu upadku moralnego i grzechu.



Kobiet były nie tylko marginalizowane, ale także demonizowane. Jedyną akceptowaną formą cielesności kobiety było macierzyństwo. W obrazie *Madonna karmiąca* Hansa Memlinga postać kobiety ukazana została w sposób asekualny – jej nadrzędną rolą była rola matki. Wzrok odbiorcy skupia się na Dzieciatku Bożym. W ten sposób rola kobiety została zawężona do macierzyństwa, a jej przeznaczenie powiązane z mężczyzną potężniejszym od niej samej.

Wraz z nadejściem epoki renesansu powrócono do starożytnego kanonu kobiecej sylwetki.

W obrazie *Narodziny Wenus* Sandro Botticello idealna kobieca sylwetka została zaprojektowana zgodnie z zasadami złotego podziału. Kobieta pozostaje jednak bierna. Zostaje zredukowana do roli obiektu seksualnego, a jej ciało – zamiast przedstawiać autonomiczną jednostkę – symbolizuje wartości związane z tym, jak postrzegają je mężczyź-

ni. Wenus ukazywana jest jako obiekt erotycznych fantazji. Kobiety często przedstawiano w pozach uległości, jakby nie należały do siebie, lecz do tego, który patrzy.

Nie zrezygnowano również z symbolicznych wizerunków nagości. *Pokutująca Maria Magdalena* Donatella ukazana została jako pokutnica – wychudzona, okryta jedynie włosami – kontynuując przedstawienie **kobiety upadłej, kobiety jako grzeszniczki.**

Erotyzm jako narzędzie dominacji.

W baroku kobieta często ukazywana była w kontekście zmysłowości i erotyzmu, co służyło jako narzędzie dominacji.

W obrazie Rembrandta *Zuzanna i starcy*, kobieta przedstawiona została jako ofiara męskiej przemocy i dominacji. Jest bezsilna wobec sytuacji, w której się znalazła, a jej los zależy od woli mężczyzn. Z drugiej strony wizerunek kobiety na obrazie *Pokutująca Maria Magdalena* Georges'a de La Toura przedstawia ją jako postać cnotliwą i refleksyjną. Towarzyszące jej artefakty – świeca czy czaszka – przypominają o przemijaniu i śmierci.

Kolonizatorska mentalność

W XIX wieku nadal mamy do czynienia z wyidealizowanymi ciałami kobiet, których przedstawienie kontrolowane było

!ALARM STUDENCKI!

przez spojrzenie mężczyzn. Pojawia się również wątek orientalizmu. W obrazie *Wielka odaliska* autorstwa Jean-Auguste-Dominique’a Ingesa naga kobieta przedstawiona z tureckimi akcesoriami funkcjonuje jako **egzotyczny obiekt pożądania**. Orientalne kobiety ukazywane w aktach były odzwierciedleniem kolonialnej mentalności. „Obce” kobiety były fetyszizowane i przedstawiane jako obiekty męskiej dominacji nad kobietami z innych kultur, co wzmacniało patriarchalny model świata białego mężczyzny. Jednocześnie były one przedstawiane zgodnie z europejskim kanonem piękna – ich orientarność była jedynie kostiumem.

Patriarchalny status quo

W realizmie i impresjonizmie XIX wieku kobiety zaczęły pojawiać się jako część życia miejskiego. Kobieta przedstawiona w obrazie *Po kąpieli* Edgara Degasa jest postacią o wyraźnej seksualności, jednak jej intymność zostaje naruszona. Nawet gdy kobiety przedstawiane są w naturalnych momentach życia, ich autonomia pozostaje ograniczona – ciała są obserwowane przez męskie spojrzenie, pozbawione własnej podmiotowości.

Na początku XX wieku, pomimo odważniejszych form i symboliki, wciąż dominowało przedstawianie kobiecych sylwetek jako biernych i podporządkowanych mężczyźnie. Obraz *Panny z Awinionu* Pabla Picassa burzył kanony przedstawienia, lecz nie naruszał patriarchalnego status quo. Widzimy zdeformowane ciała prostytutek, sprowadzone do agresywnie seksualnych form pozbawionych autonomii. Rewolucyjne w tej kwestii były natomiast prace Fridy Kahlo. W obrazie *Dwie Fridy* artystka w brutalny i szczery sposób przedstawia samą siebie – jej ciało staje się zapisem doświadczeń i tożsamości, które w aktach tworzonych z męskiej perspektywy były pomijane. W latach 70. XX wieku kobiety zaczęły odzyskiwać swoją tożsamość w sztuce. Wraz z rozwojem radykalnego feminizmu odrzucono uprzedmiotawianie kobiet, a sztuka zaczęła być wykorzystywana w celach politycznych.

Kobiece ciało stało się nośnikiem przekazu. Powstawały prace takie jak *SCUM Manifesto* Valerie Solanas, przedstawiające wizję świata, w którym kobiety przejmują władzę, a eliminacja mężczyzn miałaby być sposobem na odbudowanie kobiecej autonomii. W instalacji Judy Chicago *The Dinner Party* pojawia się symbolika waginy jako obrazu siły. **Przedstawianie kobiecości poprzez waginę nieświadomie powieliła jednak patriarchalną narrację sprowadzającą kobietę do narządu reprodukcyjnego.** Zbyt silna estetyzacja prac sprawiała, że zamiast radykalnego oporu traciły one na politycznej sile.

Konfrontacja z dyskursem feministycznym

W tym okresie zaczęto także analizować wpływ mediów na wizerunek kobiecego ciała. Pojawiła się koncepcja male gaze, która zrewolucjonizowała sposób rozumienia przedstawiania kobiet w kulturze wizualnej.

W dyskursie feministycznym pojawiła się również krytyka pornografii. Andrea Dworkin i Catharine MacKinnon uważały ją za integralną część patriarchalnego systemu i narzędzie dehumanizacji kobiet. Ich zdaniem pornografia wprowadza społeczną aprobatę dla przemocy wobec kobiet, w tym gwałtu i molestowania, oraz kształtuje męskie wyobrażenia na temat kobiet.

W mediach masowych pojawiały się również „*Króliczki Playboya*”, które **pod przykrywką wolności seksualnej** sprowadzały kobiety do obiektu seksualnego. Ich ciała były zniekształcone i dalekie od wizerunku realnych kobiet. Nie były postrzegane jako autonomiczne podmioty, lecz jako projekcje męskich fantazji wpisane w uproszczony model kobiecości.

Dla Jenny Saville sposobem na ucieczkę od kontrolowanego przez mężczyzn wizerunku kobiety było przedstawianie ciała burzącego kanony piękna wypracowane przez reklamę i media. W pracy *Shift* ukazywała ciała pokryte bliznami, fałdami skóry i śladami doświadczeń. Marina Abramović w performansie *The*

Artist Is Present wykorzystuje natomiast napięcie między artystką a odbiorcą. Brakuje jednak w tym przypadku wyraźnego społecznego zaangażowania – zamiast kontrować patriarchalne doświadczenie kobiety, performance wpisuje się częściowo w dominującą normę.

Sztuka jest odzwierciedleniem mentalności i wzorców społecznych. **Nic więc dziwnego, że w patriarchalnym społeczeństwie bywała narzędziem dehumanizacji kobiet i przedstawiania ich jako obiektów seksualnych.** Niektóre przedstawienia można uznać za graniczne z pornografią, która prezentuje ciało kobiety w zdeformowanym odbiciu i przedstawia ją jako podporządkowaną mężczyźnie obserwatorowi. Wielu artystów tworzyło obrazy służące jedynie zaspokojeniu heteroseksualnych fantazji. Przedstawiane kobiety pozbawiano autonomii, a ich intymność była naruszana.



Madonna–dziwka–matka

To, co odróżnia sztukę od pornografii, to często intencja oraz kontekst kulturowy, w którym nagość może symbolizować zarówno boskość, jak i grzech. Przedstawienia kobiet można również opisać za pomocą freudowskiego kompleksu „*Madonna–dziwka–matka*”, w którym kobiety dzielone są na obiekty miłości i szacunku oraz obiekty seksualnego pożądania. Pożądane, a jednocześnie pozbawione własnej seksualności, autonomii i doświadczeń ukrytych za kobiecym ciałem.

Papierowe konwencje ochrony i krew na podłodze. Przemoc domowa w Polsce.

Hanna Klauza



Przemoc domowa jest tematem znanym bardziej z ciszy i tabu niż z otwartej dyskusji. Od lat obserwujemy ignorancję ze strony mediów, polityków czy nawet służb – w teorii odpowiedzialnych za niesienie pomocy jej ofiarom. Niebezpieczne zamykanie spraw za zamkniętymi drzwiami przynosi z roku na rok coraz więcej makabrycznych skutków. Tylko ich najbardziej brutalna część może „pochwalić się” wzmianką w artykule publicystycznym lub miejscem w spisie statystycznym. Te liczby następnie są przytaczane co cykl wyborczy przez lewicowe partie obiecujące swojemu elektoratowi zmianę systemu. **Natomiast lwia część nadal pozostaje przemilczaną opowieścią matki, babci, córki, koleżanki z pracy, przyjaciółki, partnerki, czy żony.**

Zgodnie z nowelizacją Ustawy o Przeciwdziałaniu Przemocy w Rodzinie z 2023 roku definicja przemocy domowej w Polsce rozumiana jest jako jednorazowe lub powtarzające się umyślne wszelkie *akty fizycznej, seksualnej, psychologicznej lub ekonomicznej przemocy występujące w rodzinie lub gospodarstwie domowym albo pomiędzy byłymi lub obecnymi małżonkami lub partnerami, niezależnie od tego, czy sprawca i ofiara dzielą miejsce zamieszkania, czy też nie* (Dz.U. 2023 poz. 535). Wcześniej prawnie obowiązywał termin **przemoc w rodzinie**, który rozumiany był jako przemoc występująca we **wspólnie zamieszkałym gospodarstwie domowym**, co zdecydowanie doprowadzało do wykluczenia części przypadków.

W 2015 roku doszło do ratyfikacji Konwencji Rady Europy o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej, znanej jako **Konwencja Stambulska**. Do dziś program ten budzi oburzenie różnych konserwatywnych środowisk politycznych. W założeniu Konwencja rozszerza możliwości udzielania wsparcia ofiarom przemocy ze względu na płeć – kobietom. W Polsce jednak od lat część polityków podważa zasadność jej wdrażania, kwestionując merytoryczne podstawy konwencji, a nawet sugerując, że pod ha-

słem ochrony kobiet kryje się próba narzucania polskim rodzinom *ideologii LGBT*. Jak powszechnie wiadomo, przedstawiciele państwa deklarują, że priorytetem pozostaje **ochrona rodziny jako fundamentalnej komórki społecznej**. Kobiety, które nie zawsze mogą liczyć na bezpieczeństwo we własnym domu, przynajmniej zostają skutecznie chronione przed treściami określanymi jako *tęczowa ideologia*. Straszenie opinii publicznej insynuowanymi, ukrytymi celami tajemniczo brzmiącej Konwencji, odwraca uwagę od jej zasadniczego celu, jakim jest skuteczna **pomoc kobietom doświadczającym przemocy ze strony swoich obecnych i byłych partnerów**. Przekierowywanie debat z kwestii bezpieczeństwa i ochrony ofiar na spór światopoglądowy, jest nie tylko ignorancją – to mające **materialne skutki przemykanie oczu polityków na znęcanie się psychiczne i fizyczne nad kobietami z rąk mężczyzn**.

Polska, mimo wielu sprzeciwów, ratyfikowała Konwencję Stambulską w 2015 roku. Teoretycznie system pomocy obejmuje różne modele relacji i rozszerza definicję przemocy z obowiązkiem prowadzenia statystyk. Lecz czy ta zmiana wystarczyła do ulepszenia systemu? Cóż, statystyki publikowane corocznie przez Policję wskazują, że problem niedziałającej struktury leży zdecydowanie gdzie indziej. Polityczna wojna, nawet jeśli sprawia wrażenie wygranej, jest taka wyłącznie na papierze.

Należy podkreślić, że agresja w rodzinie ma wyraźne zróżnicowanie płciowe. Jak można przeczytać na stronie Policji: „*Przemoc domowa pozostaje poważnym problemem społecznym, dotyczącym przede wszystkim kobiety [...] stanowią 74% wszystkich ofiar*”. Według głosów specjalistek te dane nie są miarodajne – statystyki są zaniżone i niewystarczające, bo trafiają do nich tylko najpoważniejsze przypadki. Źródłem tego zjawiska jest specyficzny charakter komórki rodzinnej, zakorzeniony w świadomości społecznej, w szczególności kobiet, traktowanej jako sfera wyjątkowo prywatna i intymna. Dodatkowo piętnowanie ofiar czy zakorzeniony wstyd towarzyszący kobietom legitymizują trwające od lat milczenie. Brak rozmów w przestrzeni publicznej buduje fałszywy obraz i marginalizację problemu, który, jak się wydaje, nikogo nie dotyka. W rzeczywistości, według samych oficjalnych statystyk policyjnych, wobec których należy zachować dystans z podanych powyżej powodów, w 2025 roku przemocy ze strony partnera doświadczyło ponad 90 tys. osób.

Warto zaznaczyć, że najwcześniejsze dane dotyczące reakcji Policji na zgłoszenia przemocy domowej pochodzą z **1999 roku**,

ALARM STUDENCKI

a struktura Niebieskiej Karty powstała dopiero w 2011 roku (z nowelizacją w 2023). **Polska posiada zatem upokarzająco skromną historię systemowego zapobiegania przemocy domowej.** W przeprowadzonym międzynarodowym badaniu z 2003 r. nad przemocą wobec kobiet poproszono respondentki o opisanie doświadczeń związanych ze zgłoszeniem doświadczanej agresji. W odpowiedzi na pytanie o zadowolenie ze sposobu, w jaki Policja zajęła się sprawą, uzyskano zróżnicowane wyniki w poszczególnych krajach. Najlepiej oceniona została Policja w Australii i Danii (około 60%), krajach o zdecydowanie dłuższym doświadczeniu w przeciwdziałaniu przemocy domowej i przemocy wobec kobiet. Najwięcej niezadowolonych z zachowania Policji podczas interwencji kobiet było w Polsce i Czechach – ponad 60%. **Co istotne, decyzja o zgłoszeniu incydentu zależała od tego, czy czyn był przez ofiarę uznany za „poważny”, czyli taki, który stanowił przestępstwo lub zagrażał jej życiu.** Z kolei prof. Gruszczyńska komunikuje, że *„W Polsce nawet wtedy, gdy było to poważne zdarzenie, postrzegane jako przestępstwo lub zagrażające życiu, odsetek zgłoszeń nie przekraczał 33%”*.

Z przeprowadzanych badań wynika, że wśród Polek panuje silne przekonanie o nieskuteczności Policji i wymiaru sprawiedliwości, co bezpośrednio przekłada się na niezgłaszanie aktów agresji, jakich dopuszczają się mężczyźni.

Alarmujące jest, że w statystykach policyjnych, a zgodnie z diagnozami specjalistek ich skala jest szacowana jako zdecydowanie wysoka. Potwierdzenie tej tezy można znaleźć w danych sprzed nowelizacji ustawy, gdy uogólniano kategorie wyłącznie do „zawiadomień”, a liczby przekraczały 100 tysięcy – co dla zobrazowania odpowiada średniej liczbie mieszkańców przeciętnego miasta w Polsce. Może to wskazywać na brak skuteczności obecnego systemu zwalczania przemocy domowej.

Przyczyn nieefektywności systemu „Niebieskiej Karty” można szukać w niekonsekwencji procedury. **W rzeczywistości ofiara nie posiada wystarczającego wsparcia socjalnego, co w przypadkach uzależnienia ekonomicznego od partnera zmusza kobiety do mieszkania w jednym domu ze sprawcą przemocy.** W przypadku posiadania potomstwa łatwo wyobrazić sobie poświęcenie bezpieczeństwa, w celu zapewnienia sobie i dzieciom dachu nad głową. W teorii policjant zawiadomiony o działaniach agresywnych skierowanych na członka lub wielu członków rodziny ma obowiązek wszczęcia postępowania procedury Niebieskiej Karty. Prowadzony jest wywiad ze sprawcą oraz ofiarami – zbyt rzadko ze świadkami i świadkiniami. Dodatkowo zbierane są dowody, w postaci nagrań, zdjęć, etc. W praktyce, gdy działania przemocowe miały miejsce np. jakiś czas temu, a ofiara nie dysponuje wystarczającym materiałem dowodowym, sprawa zostaje umorzona. Nie są to nieliczne przypadki. **Natomiast jeśli trafi się do „szczęśliwego” grona i zostanie nam założona Niebieska Karta, nie można liczyć na żadną pomoc socjalną ze strony władz.** W żadnym momencie nie jest oferowana też żadna pomoc psychologiczna ani prawna. W efekcie ofiara zostaje sam na sam ze sprawcą. Skutkuje to wtórnymi aktami przemocy, które mogą być zastrzone, a sprawca może poszukiwać zemsty.

Chcąc wytłumaczyć powody tak znaczącej nieskuteczności systemu, trzeba wziąć pod uwagę kumulację wielu czynników. Brak edukacji na temat przemocy ze względu na płeć, nieprzeszkolone służby, uprzedzona prokuratura, przeciążenie systemu, pozorne me-

dialne i polityczne działania ukierunkowane na odwrócenie uwagi od powagi problemu przemocy domowej, który nie rozwiąże się sam. Wybiórcze poru-

szenie tematu na wiecu wyborczym czy w odpowiedzi na niewygodne pytania podczas wywiadów to zdecydowanie zbyt mało, by uchronić kobiety przed męską agresją.

Rodzina, w której dochodzi do aktów przemocy fizycznej i psychicznej, nie jest, jak chciałby Kościół *najdelikatniejszą i najświętszą komórką społeczną*, lecz jej najobrzydliwszym wypaczeniem. **Bronienie czy**

usprawiedliwianie partnerów katujących swoje partnerki nie może trwać. Budowy kompleksowego systemu wsparcia należy od przedstawicieli rządu nie tylko oczekiwać, ale przede wszystkim wymagać.

Według szacunków Centrum Praw Kobiet corocznie w Polsce ginie z rąk najbliższych im mężczyzn od 400 do 500 kobiet.

Konieczne jest nie tylko zauważać problem, ale natychmiast reagować. **Jeśli podejrzewasz, że osoba z twojego otoczenia doświadcza przemocy, nie udawaj, że nie widzisz. Reaguj.**

Całodobowy telefon interwencyjny
Centrum Praw Kobiet:
0 107 777 (po połączeniu należy wybrać 9).



Mieć ciastko i zjeść ciastko. O kobiecej niechęci do brania odpowiedzialności

Gabriela Wilczyńska



Dysproporcje płciowe w organizacjach politycznych nie są żadną tajemnicą. Niczym nowym jest sprawdzanie parytetu i kąśliwe uwagi w stronę grup, które nie są w stanie wypchnąć do przodu chociaż jednej onieśmielonej kobiety, a zamiast tego na manifestacjach mikrofon podają stałemu wodzirejowi.

Pisząc *Studentki, pracownice, lokatorki, związkowczynie*. Kobiety w ruchu socjalnym zwracałam najwięcej uwagi na reprodukcję postaw, które umiejętnie odsuwają od działalności politycznej kobiety – szczególnie te młodsze. Tekst spotkał się z dość sporym zainteresowaniem. Przetłumaczono go na 4 języki, zorganizowano wokół niego parę spotkań w Polsce i poza nią, a nawet wywołał reakcję reprezentantów opisywanego w artykule nurtu *Każdy może się wypowiedzieć*. Nadal jestem zdania, że była na taki tekst potrzeba. Jednak obserwując reakcje osób, z którymi słowa autorek rezonowały, rosła we mnie frustracja.

W wypowiedziach czytelniczek słyszalna była bierność. Skala komfortu, jaki odczu-

wają członkinie organizacji, pozwalająca im osiąść na laurach i aktywować się tylko w celu uraczenia otoczenia wątpliwie błyskotliwym komentarzem o *facecikach*, budzi niepokój. Tymczasem kobiety potrzebują pozytywnego programu. W przeciwnym przypadku ich obecność będzie ograniczona do okazjonalnego dzielenia się traumatycznymi doświadczeniami, podczas gdy ich koledzy układają polityczne strategie.

Praca oraz jej brak

Liberalny feminizm każe nam patrzeć na kobiety niemal jak na dzieci – wątłe istoty, którym należy zapewnić bezpieczeństwo, komfort i emocjonalne wsparcie, ale od których nie można oczekiwać realnej sprawczości.

W takiej wizji kobieta jest przede wszystkim kimś, komu coś się przydarza: doświadcza przemocy, marginalizacji, niesprawiedliwości. Rzadziej mówi się o niej jako o kimś, kto bierze na siebie odpowiedzialność za wspólną sprawę, kto inicjuje działania, kto podejmuje ryzyko polityczne.

W praktyce oznacza to bardzo konkretny podział pracy. Kobiety chętnie zgłaszają się do zadań organizacyjnych i opiekuńczych: przygotowania grafiki, prowadzenia mediów społecznościowych, robienia zdjęć, dbania o atmosferę w grupie. **Są to działania potrzebne, ale rzadko decydujące o kierunku politycznym organizacji.** Znacznie rzadziej kobiety biorą na siebie zadania wymagające publicznej ekspozycji i odpowiedzialności za linię polityczną: pisanie tekstów programowych, inicjowanie debat, zabieranie głosu na spotkaniach, proponowanie strategii działania.

Problem nie polega wyłącznie na tym, do czego się zgłaszamy, ale również na tym, czego nie robimy. Kobiety często milczą – i robią to nawet wtedy, gdy warunki są im sprzyjające,

a przestrzeń należy do tych uznawanych za „bezpieczne”. Spotkania mijają, decyzje zapadają, a głos zabierają wciąż te same osoby. Czasem wynika to z braku pewności siebie, czasem z przyzwyczajenia, czasem z wygody. Jednak to nie ma znaczenia, bo polityka nie znośi próżni: jeśli nie zajmiesz miejsca przy stole, ktoś inny zrobi to za ciebie. Jeśli nawet w sprzyjających okolicznościach nie jesteśmy w stanie zabierać głosu, to jak zamierzamy sprzeciwić się brutalnej i wrogiej nam władzy? Skoro brakuje nam odwagi wśród „swoich”, to skąd mamy zamiar ją wytrzasnąć w towarzystwie szefostwa?

Wchodzenie w buty stereotypu

Innym problemem jest sposób, w jaki traktujemy się nawzajem. Zamiast wzmacniać się i budować solidarność, często bierzemy udział w drobnych rywalizacjach i wzajemnym podważaniu. Ten mechanizm szczególnie łatwo uruchamia się w momentach, gdy władza – choćby w minimalnym stopniu – zaczyna sprzyjać którejś z kobiet. Wtedy zamiast kwestionować samą strukturę władzy, często zaczynamy ją odtwarzać. **Wystarczy drobna przewaga: bliższa relacja z liderem, większa widoczność w organizacji, symboliczne uznanie. W takich sytuacjach niektóre kobiety bardzo szybko uczą się zasad gry, które dotąd krytykowały. Zamiast je rozbrajać, zaczynają z nich korzystać.**

Szczególnie wyraźna jest w tym kontekście **gotowość do oddawania symbolicznego pierwszeństwa mężczyznom**. W wielu organizacjach można obserwować niemal rytualne potwierdzanie ich autorytetu: ich opinie traktuje się jako bardziej poważne, ich interpretacje jako bardziej wiążące, ich obecność jako bardziej naturalną w roli liderów. Kobiety, które mogłyby tę hierarchię zakwe-

ALARM STUDENCKI

stionować, same ją wzmacniają – zabiegając o ich aprobatę, broniąc ich pozycji lub ustawiając się w roli lojalnych sojuszniczek. **Czasem w nadziei na przejście choćby części uznania, którym obdarza się działaczy, częściej jednak dla bezpieczeństwa – bo pozostawanie w łaskach tych, którzy rozdają karty, zwyczajnie się oplaca.** Jednocześnie wobec innych kobiet potrafimy być znacznie surowsze. Błędy, które u mężczyzn przechodzą niemal niezauważone, u kobiet stają się pretekstem do długotrwałej nieufności. Zamiast traktować się jako polityczne partnerki, które wspólnie uczą się działania, łatwo wpadamy w cykl testowania, oceniania i symbolicznego „sprawdzania”, która zasługuje na miejsce w grupie. W rezultacie rozwijamy środowisko, w którym solidarność pozostaje deklaracją, a praktyką staje się wzajemna podejrzliwość. To szczególnie paradoksalne w ruchach, które budują swoją tożsamość wokół krytyki hierarchii i dominacji. Mechanizmy władzy, które teoretycznie chcemy rozbrajać, zaczynają działać między nami w pomniejszonej skali: w gestach lojalności wobec silniejszych, w rywalizacji o uznanie, w drobnych aktach przemocy symbolicznej.

Dlatego tak często widzimy kobiety tam, gdzie toczy się życie towarzyskie ruchu – w rozmowach, w „dramach”, w kulisowych sporach – ale znacznie rzadziej tam, gdzie zapadają decyzje polityczne. Tam, gdzie trzeba napisać tekst programowy, opracować strategię działania, przygotować komunikację wewnętrzną, przeprowadzić trudne rozmowy, wystąpić publicznie czy wziąć odpowiedzialność za kierunek organizacji. Nie chodzi o to, by kogokolwiek zawstydzać czy moralizować – w celu wzmacniania kobiet potrzebujemy tych prostych obserwacji, nie wyparcia czy życzeniowego myślenia. W polityce nikt nie będzie czekał, aż ktoś poczuje się gotowy, by zająć miejsce. Przestrzeń zostaje zajęta przez tych, którzy po nią sięgają.

Moralność i estetyka

Dochodzi do tego zjawisko, które można nazwać autoinfantyлизacją. **Kobiety same ustawiają się w pozycji osób mniej kompetentnych, mniej zdecydowanych, mniej uprawnionych do zajmowania przestrzeni.** Wybierają role bezpieczne i niewidoczne, unikając sytuacji, w których trzeba jasno sformułować stanowisko, podjąć decyzję czy ponieść odpowiedzialność za jej konsekwencje. Ta strategia bywa wygodna: pozwala pozostać w pobliżu polityki, ale bez konieczności pełnego wejścia w jej nurt. To samo podejście przejawia się również w stosunku do własnych poglądów. Zamiast je rozwijać, pogłębiać i konfrontować z argumentami innych, wiele osób poprzestaje na powierzchownych formułach, które dobrze brzmią w mediach społecznościowych, ale nie wytrzymują poważniejszej dyskusji. **Przekonania i ideały funkcjonują jak estetyczne deklaracje – krótkie, łatwe do powtórzenia, często zapożyczone z obiegu internetowego.** W efekcie język polityczny ubożeje: zamiast precyzyjnych pojęć pojawiają się slogany, zamiast argumentów pielęgnujemy moralne intuicje. To z kolei sprawia, że wiele kobiet w praktyce unika sytuacji wymagających obrony własnego stanowiska.

W dyskusjach politycznych szybko wycofują się z bardziej wymagających sporów, nie rozwijają swoich tez, nie budują argumentacji, która pozwoliłaby im utrzymać pozycję w rozmowie – często czują potrzebę podkreślić, że nie chcą cię atakować, tak jakby ich opinia miała kolce. **Nie chodzi wyłącznie o brak wiedzy – raczej o brak nawyku traktowania własnych poglądów jako czegoś, co wymaga pracy, dyscypliny intelektualnej i gotowości do konfrontacji.** W rezultacie kobiety pozostają obecne w przestrzeni politycznej głównie na poziomie tożsamości, deklaracji i komentarzy. Tam, gdzie potrzebna jest dłuższa argumentacja, gdzie trzeba uporządkować myśli, odwołać się do szerszych ram teoretycznych lub wziąć udział w poważnej polemice, często zapada cisza. Nie dlatego, że kobiety nie mają nic do powiedzenia, ale dlatego, że zbyt rzadko traktuje się własne myślenie jako coś, co wymaga systematycznego rozwijania.

Perspektywy?

Najłatwiej jest mówić o wykluczeniu w języku doświadczenia, znacznie trudniej w języku konsekwencji. Ten drugi wymaga uznania, że ruch nie jest przestrzenią, w której *ktoś robi miejsce*, a przestrzenią, w której miejsce się zajmuje. Nie można w nim uniknąć ryzyka i konfliktu. Polityka zaczyna się dokładnie tam, gdzie napięcie towarzyszące konkretnym decyzjom. Wymagajmy od siebie więcej, bo nie jesteśmy liśćmi na wietrze.



Bądź na bieżąco niezależnie od algorytmów.

Zapisz się do naszego **newslettera** i otrzymuj **comiesięczne** podsumowanie najważniejszych wydarzeń ze studenckiego ruchu związkowego wraz z publicystycznymi poleceniami.



Prowadzimy też stronę internetową **mlodzi.ozzip.pl** na której dostępne są zdigitalizowane wszystkie dotychczasowe numery. Publikujemy tam też twórczość, która nie trafia na papier, dlatego teraz tym bardziej zachęcamy do dzielenia się Waszymi tekstami — **z chęcią publikujemy studenckie głosy niezależnie od trwania naboru do następnego numeru oraz dopasowania tematycznego**. Napisz do nas: mlodzi.ip@ozzip.pl

Pomóż nam wydawać **Alarm!** Pomóż nam wydawać **Alarm!** Pomóż nam wydawać **Alarm!** Pomóż nam wydawać **Alarm!**



ZRZUTA
NA GAZETĘ

Pomóż nam wydawać **Alarm!** Pomóż nam wydawać **Alarm!** Pomóż nam wydawać **Alarm!** Pomóż nam wydawać **Alarm!**



mlodzi.ozzip.pl
@kmip.[nazwa miasta]
mail: mlodzi.ip@ozzip.pl



[@mieszkaniowa](https://facebook.com/mieszkaniowa)
@sim.polska

Komisje młodzieżowe są częścią **Ogólnopolskiego Związku Zawodowego „Inicjatywa Pracownicza”**. Walczą o dostępną edukację i godne warunki pracy.

Inicjatywa Pracownicza stawia sobie za cel integrację różnych grup w jedną międzybranżową organizację – związek zawodowy walczący o prawa i interesy całej klasy pracującej. Taka perspektywa wymaga wzajemnej solidarności oraz szukania wspólnej platformy działania dla pracowników i pracownic z różnych branż, grup zawodowych, zakładów pracy i uczelni.

Studencka Inicjatywa Mieszkaniowa to grupa studentek i studentów zajmujących się problemami socjalnymi społeczności akademickiej. Główne filary działalności inicjatywy to dostęp do akademików, publiczne stołówki, ogólnie pojęte ekonomiczne aspekty studiowania.

Redakcja: Wiktoria Czarnecka, Hanna Klauza, Zofia Mańkowska, Julia Popławska, Agata Radziszewska, Maya Śliwa, Dominika Zymni

Redaktorka naczelna: Gabriela Wilczyńska

Skład: Dominika Zymni

Grafika i zdjęcia: Hanna Klauza, Zuzanna Lewandowska, Zofia Mańkowska, Zofia Nocna, Agata Radziszewska, Dominika Zymni

Okladka: Zofia Nocna

